

- Ten jest ode mnie – powiedziała, wręczając mi okazałych rozmiarów pudełko zawinięte w pasiasty, jaskrawy papier.

- Bez kokardy? – udałem rozczerowanie. Porwałem pudło w ręce i natychmiast zabrałem się za rozdzieranie opakowania, próbując dojść tajemnicy kryjącej się pod moimi palcami.

Jej prezenty zawsze były starannie przemyślane. Czasem żartobliwe, czasem nostalgiczne – każdorazowo perfekcyjnie dobrane do charakteru jubilata i do okoliczności, w jakich znajdował się w danym czasie. Kiedyś podarowała mi grę "Memory", własnoręcznie powycinaną ze zdjęć, których dobre kilka tysięcy napstrykaliśmy jeżdżąc po świecie. Wcześniej dostałem album o kosmosie, niedługo po tym, jak zdradziłem jej swoje dziecięce marzenia o eksploracji przestworzy.

Świstki papieru fruwały w powietrzu, gdy niecierpliwie dobierałem się do zawartości. Prezent był niemożliwie wręcz skrupulatnie zapakowany i dostanie się do środka zajęło mi dobrą minutę. Pudełko z enigmatycznym napisem "Eternity" nic mi nie mówiło. Na jej twarzy natomiast malowała się z trudem powstrzymywana ekscytacja.

- Kojarzysz?! – z napięciem oczekiwała mojej reakcji. Nie wytrzymała i krzyknęła mi prosto w ucho – Wiesz, to ta gra. Można zgarnąć dwa miliony dolarów! – zakończyła triumfalnie, tak, że zdziwił mnie brak dosadnego akordu, jako uzupełnienia tej pełnej dramatyzmu sceny.

Nieco przytłoczony, uniosłem przykrywkę pudełka i zajrzałem do środka.

- No wysyp! – pogoniła mnie, wyrywając jednocześnie pudło z rąk i odwracając do góry dnem.

Na naszym dawno nie odkurzanym dywanie znalazły się, poza igłami z sypiącej się już choinki i sierścią naszego leciwego persa - kartonowa plansza, złożona na pół kartka papieru i, jak się zdawało, całe dziesiątki małych, kolorowych kwadracików. Na każdym widniał fragment geometrycznego wzoru, który sądząc z grafiki na opakowaniu, należało ułożyć w całość jak obrazek z puzzli.

- Zasady są proste – zaczęła tłumaczyć. – Masz dwieście pięćdziesiąt sześć elementów układanki. Ten fragment jest w środku, a brzegi planszy są szare. Musisz odtworzyć cały wzór, układając kawałki tak, żeby pasowały do tego w środku, do siebie nawzajem, no i do tych szarych brzegów. - Wtedy wysyłasz kartę zgłoszeniową... – ciągnęła biorąc do ręki kartkę dołączoną do zestawu - i... (zrobiła znaczącą pauzę) ...wygrywasz 2 miliony dolarów! – wykrzyknęła nieco nazbyt entuzjastycznie, budząc Pafnucego, który obrażony czmychnął z pokoju.

Przyjrzałem się prezentowi z niedowierzaniem.

- Dwa miliony dolarów...? Ot tak? – mruknąłem sceptycznie unosząc brwi.

- Okazuje się, że wcale nie tak łatwo to ułożyć – odpowiedziała przeżuując spory kęs tortu – Już drugi rok czekają na zgłoszenia, ale nikomu jak na razie się nie udało.

Niczego więcej nie trzeba mi było na zachętę. Gdy tylko położyła się spać, usiadłem z "Eternity" przy biurku i zacząłem obracać w rekach kolorowe elementy układanki. Dwa miliony dolarów. Miałem tysiące scenariuszy w głowie. Wreszcie moglibyśmy ułożyć sobie życie, wybrać się w podróż po świecie. Mógłbym w końcu rzucić pracę i urządzić swoje studio.

Przyjrzałem się puzzlom. Wzór nie wydawał się nadmiernie skomplikowany do ułożenia i dopiero po chwili zorientowałem się, na czym polegał haczyk. Jego fragmenty powtarzały się wielokrotnie, drastycznie podnosząc ilość możliwych kombinacji. Każdy kwadracik podzielony był na cztery części stanowiące elementy odrębnego wzoru, więc pasowały do niego cztery inne kwadraciki, a do każdego z nich, kolejne trzy. Do tego dochodziły kwadraciki z szarym polem przypisane do krawędzi planszy.

Szybko wziąłem kartkę i zacząłem liczyć. Kilka razy musiałem odświeżyć sobie wiadomości z matematyki. Wreszcie po godzinie i kilku ostrzeniach ołówka odłożyłem notatki i osunąłem się na oparcie krzesła. Zakładając, że każdy element był inny, ilość możliwych konfiguracji tej układanki wynosiła 1.115×10557 . Zacząłem myśleć nad jakimś algorytmem, który rozwiązałby ją za mnie, ale nie za bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Poza tym, skąd miałbym wziąć komputer takiej klasy, żeby sprawnie przeprowadził obliczenia...

Pogrążony w tych rozważaniach, osunąłem się na biurko w uśpieniu. Śniły mi się skomplikowane równania i unoszące się w powietrzu nawiasy, a wszystko takie kolorowe, jaskrawe, jak po LSD. Pływałem wśród tych znaków unoszony kosmiczną energią. Patrzyłem jak wylegają się na moich oczach, tworząc długie węże oplatające myśli.

Z głębi niesamowitych obrazów wyrwał mnie odgłos zatraskiwanych drzwi, kiedy ona wymykała się rankiem do pracy. Próbowałem otworzyć oczy, ale napotkałem jedynie niemy opór zmęczonych powiek. Bardzo powoli zaczął do mnie dochodzić ból przykurczonych mięśni karku, zastygłych w niewygodnej pozycji na blacie biurka. Przesunąłem rękę żeby zetrzeć nitkę śliny zastygłej na policzku i niechcący trąciłem dzbanek, który z ogłuszającym jak dla mnie hukiem roztrzaskał się o podłogę. Brutalnie wybity z letargu, w jednej chwili zerwałem się z krzesła, chwyciłem chusteczki i zacząłem wycierać kałużę zimnej kawy, która zaczęła formować się wokół moich stóp. Z roztargnieniem odrzucałem mokre strzępy smarkówki i obejrzałem się na biurko w poszukiwaniu nowej paczki.

Kilka sekund potrzebowałem na ogarnięcie informacji, jaka uderzyła we mnie w momencie, gdy mój wzrok spoczął na stercie przedmiotów rozrzuconych w nieładzie wokół laptopa. Jeden z nich w dziwny sposób nie pasował do pozostałych, burząc ten nieporządek. Płaski kalejdoskop fascynujących psychodelicznych wzorów. Eternity. Obraz leżał tam spokojny, jakby nieświadomy harmonii, która opływała idealnie poskładane kawałki. Zapomniałem o kawie, o chusteczkach, o świetle i stanąłem w osłupieniu nad planszą, próbując odtworzyć minuty zeszłego wieczoru. Mimo najszczerzych chęci nie przypominałem sobie nic, ułożenia nawet kawałeczka gry, ani fragmentu planszy. Rozejrzałem się dookoła, spodziewając się kamery, czyjegoś nieposkromionego śmiechu z faktu, że dałem się nabrać. Ale wszystko było jak wcześniej, nieruchome, obojętne. Powoli wróciłem oczami do biurka, bojąc się spłoszyć ów osobliwy miraż. Plansza spoczywała niewzruszona, rażąc jedynie paletą barw.

Odgrzebałem wśród rozgardiaszu kartę zgłoszeniową i rzuciłem się do szafki nocnej po komórkę, nie mogąc się już doczekać uchwycenia tego biletu do lepszej przyszłości w piksele. Jak na zawołanie moja Nokia zaczęła dzwonić, głupia, wyczuwając idealny moment do zwrócenia na siebie uwagi.

- Oddzwonię za moment – rzuciłem do słuchawki i już sięgałem kciukiem do czerwonej słuchawki, kiedy głos po drugiej stronie zaczął pisać panicznie:

- Czekaj, czekaj, chwila! – Ona nigdy nie potrafiła być cierpliwa, musiała wszystko, w tej chwili.

- Co? – rzuciłem z irytacją.

- Zobacz tylko czy zostawiłam służbową komórkę w domu, bo jak nie, to w taksówce musiała mi wypaść i, kurcze, gość pewnie już zabrał pasażerów i...

- Dobra, chwila, gdzie ją miałaś? – przerwałem jej, rozglądając się energicznie.

- Może być w kuchni na blacie, albo przy łóżku.

- Czekaj! - rzuciłem idąc w stronę kuchni. - Tu jej nie ma.

Przeszedłem do sypialni.

- Przy łóżku też nie.

- Cholera! – słyszałem, że była bliska płaczu.

- Zaczekaj, zadzwonię na nią z drugiego telefonu – przyszło mi do głowy i zacząłem wygrzebywać drugą komórkę z kieszeni spodni rzuconych na podłodze.

Nagle krzyknęła mi prosto w ucho, drażniąc bębenek:

-Kuuurde! Cały czas miałam ją w torebce, tylko mi się schowała w kosmetyczce – na koniec roześmiała się z wyraźną ulgą. – Sorry, Kocie, ale prawie spanikowałam.

- Taa, prawie... - mruknąłem i rozłączyliśmy się.

Idąc do gabinetu, wreszcie uzbrojony w komórkę z aparatem fotograficznym, zatopiłem się w mojej wizji pięknego, dostatniego życia gdzieś na Hawajach i to pewnie dlatego, a nie dlatego, że byłem niewyspany i trudno dostosowywałem się do zmian otoczenia, doznałem szoku na widok biurka. Pośród papierów, pudełek, długopisów i kabli wały się potłuczone odłamki moich marzeń, a dokładniej, tu i ówdzie porozrzucane kawałki układanki, rażąc kolorem niczym nieliczne kawałki kandyzowanej papai w szarej brei porannej owsianki. Leżały dokładnie tak, jak zapamiętałem z zeszłego wieczoru. Wszystko było równie nieporuszone, jak wtedy, gdy szedłem po telefon. Doznałem tego dziwnego uczucia, kiedy wpatrując się z rozdziawioną gębą w przedmiot ma się wrażenie, że ten kpiąco się uśmiecha, czerpiąc niemą satysfakcję z twojego rozczarowania. Mógłbym przysiąc, że gdybym się uważniej wsłuchał, usłyszałbym cichy chichot.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gaia, dodano 23.03.2011 08:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.